

Śmierć domu



ELIZA ORZESZKOWA

GLORIA VICTIS

Śmierć domu

Hałas grubych rozmów, śmiechów, sprzeczek; tłum koni przez różnych ludzi za uzdy trzymany i bydła, któremu na szyję powrozy zarzucają; tłum chłopów, Żydów, zagrodowców, szary, siermiężny, chęcią zysku rozgrzany, rozgadany, rozmachany, oczami spod zmiętych czapek połyskujący. Wśród tłumu, przed rozwartymi wrotami stodoły, stajen, obór, na podścielisku słomy brudnej i zmiętej — kocz stary, kabriolet jeszcze nowy i ładny, parę bryczek, wozy, z których na jednym błękitno pomalowana młocarnia, na innych pługi z połyskującymi lemieszami, brony zębami do góry obrócone, splątane nogi od stołów i stolków, grube, czerwone szafy, nadwerżone albo i połamane, bezimienne i bezkształtne sprzęty, narzędzia, graty, rupiecie. To wszystko na wielkim, gładkim dziedzińcu, z którego strony jednej stoi wysoka gęstwina drzew, prawie pozbawionych liści, z drugiej, za sztachetami tu i ówdzie rozwalonymi leżą pod białym niebem pola brunatne, rozległe, uśpione.

Pod gęstwiną drzew, która zasłoną z ciemnych koronek wznosi się nad białym, długim domem, na głębokim ganku przez cztery grube słupy wspieranym stoi stół z brudnym kałamarzem, z trochą szarych papierów, z piórem w atramencie powalonym i ze starym dzwonkiem, którego rączka naśladuje figlarnie wykrzywioną małpkę. Przy stole trzy nie zajęte w tej chwili krzesła: z obu stron ganku po sześć okien, niewiele nad ziemią wzniesionych — wszystkie pozamykane szczelnie, a wewnątrz nagie. Nad gontowym dachem o szerokim u dołu okapie i spiczastym szczycie, na drzewie najwyższym, sterczy przez wiatr zapewne wykrzywione gniazdo bocianie.

Drzwi domu staroświeckie, okryte rzeźbą naśladującą gęste nabicie gwoździ, rozwierają się szeroko i kilku ludzi z wielkim stukiem grubego obuwia wynosi z nich sprzęt długi i ciężki. Jakby na dane hasło, część tłumu hałasującego dokoła koni, bydła i wozów z pośpiechem rzuca się ku gankowi. Zapewne panowie urzędnicy skończyli już jeść śniadanie i wnet zaczną prowadzić dalej przerwana na pół godziny licytację. Konie, bydło, narzędzia gospodarskie, graty zawalające oficyny i spichrze już są sprzedane i nabyte; teraz kolej na sprzęty domowe. Ho, ho, ciekawa to rzecz sprzęty takiego starego domu; bardzo starego, bo Joachim ogrodnik, który już ze siedemdziesiąt lat ma, najpewniej opowiada, że zbudowano go za młodości jego dziadka. Nazbierać się też tam musiało rzeczy różnych przez czas tak długi i przez życie tylu pokoleń. Toteż młody Franus Kulik, w najbliższe zapusty ożenić się mający, gwałtownie ludzi rozpycha i z rękami zuchwale na kłębach opartymi staje najbliższej ganku. Ale młynarz Zawruk i handlarz Mendel nikomu na licytacjach ustępować nie przywykli; więc piersiami jak taranami o stalowe łokcie buńczucznego zagrodowca tłuką, a oczami pożerają ustawioną na brzegu ganku kanapę długą, głęboką, całą z mahoniu, z ogromnymi poręczami i obiciem, na którym wśród tła ciemnego blednieją dwa spłowiałe, na kanwie wyszyte pejzaże. Dawno już te pejzaże wyszyte zostały, bardzo dawno, bo stary Joachim był chłopcem kredensowym i może jeszcze dziesięciu lat nie miał, kiedy starsza pani wyszywała je w krosnach takimi pięknymi włóczkami, że pociągały one wzrok i ręce malca, ilekroć froterując posadzkę na krosna okiem rzucił. Wtedy też starsza pani była jeszcze młoda i do pięknej roboty nie zbliżała się inaczej jak z wesołym nuceniem. Czasem, gdy pana nie było w domu, a dzieci bawiły się w ogrodzie, sama jedna siadywała nad krosnami, przy otwartym oknie, przez które wlatywały szelesty liści, zapachy kwiatów, śmiechy dzieci. Szyła i nuciła. Ile razy

nawłokła igłę, tyle razy zanuciła, a czasem i zaśpiewała tak głośno, że po całym domu się rozległo. Jak raz w wigilię imienin pana rymarz Jerzy obił tę kanapę ciemną materią z tymi wprawionymi przez nią pejzażami. Pan był bardzo kontent, goście, których na imieniny pełno się nazjeżdżało, robocie nadziwić się nie mogli. Joachim doskonale dzień ten pamięta, bo jadł w kredensie wiele smacznych rzeczy i paru rówieśnikom przez gości przywiezionym pokazywał w rosnących za ogrodem olchach gniazda szpaków i dudków. Kiedy zaś jak koty włązili na te drzewa, od domu bił gwar muzyki, rozmów, brzęczenia stołowych naczyń. Świat stał w zieleni, dom w wesołości. Nie dziw więc, że to wszystko wybornie pamiętając, starowina w długiej do kostek siermiędze wspina się na palce, suchymi rękoma zawiesza się na poręczu ganku, kościstą szyję wypręża i tak usilnie, uparcie wpatruje się w spłowiałe pejzaże kanapy, że aż żółte powieki pod siwymi brwiami poczynają mu prędko, coraz prędzej mrugać. Ale w tejże chwili pomiędzy grubym i zabłoconym jego obuwciem a poręczą ganku cichuteńko przesuwa się stworzenie, które także coś pamięta i ostrożnie tłum ludzki wymijając, zbliża się do kanapy. Jest to pies nieduży, bardzo chudy, z żółtą, zjeżoną od zaniedbania sierścią, z kiciastym spuszczonego ogonem i niezmiernie smutnymi oczyma w białych obwódkach. Przybiegł, a raczej przypełzł do kanapy, obwąchał ją i pysk do niej przyłożywszy zaczął po cichu skomleć. Kochana kanapa! Żółty pies pamięta wybornie, że nazywano ją w domu kanapą babuni, że siadywały na niej osoby, które on kochał i których ręce delikatne i przyjazne z pieśczołą przesuwały się po jego gładkiej podówczas sierści. On nawet niekiedy i na pejzażach tych siadywać miał prawo, a teraz nie może nawet na nie popatrzeć, bo ludzie cisną się dokoła tłumnie, gwałtownie, aż skurczony, do ziemi przypadły wcisnąć się musi pod kanapę, gdzie zwija się w kłębek i ciągle po cichu skomli. Ludzie tymczasem tak ściśle otoczyli stół z kałamarzem, papierami i dzwonkiem, że z siedzących przy nim urzędników widać tylko jedną czapkę z błyszczącą gwiazdką, jeden profil bladej i ostrej i jedną chudą długą rękę, która przerzuca papiery. Wąskie usta bladego profilu głośno i dobitnie wymawiają kilka wyrazów, zakończonych głośniejsze i dobitniej wymówionym zapytaniem:

— Pięć! Kto da więcej?

Franuś Kulik, czerwieniąc się, głębokim basem woła:

— Pięć pięćdziesiąt!

Młynarz przez Kulika uproszony milczy, ale handlarz miarkując, że zawsze to czysty mahoń, piskliwie krzyczy:

— Sześć!

Blady profil powtarza:

— Sześć! Po raz trzeci! Kto da więcej?

Kulik w płomieniach cały, z zamaszystym gestem wykrzykuje:

— Siedem!

— Kto da więcej?

Milczenie. Mendel rozważa i wątpi: a kto na takim staroświeckim gracie siedzieć zechce? Nikomu zaś innemu spośród obecnych kanapa z pejzażami na nic wcale przydać się nie może. Więc chuda długa ręka, która przed chwilą przerzucała papiery, wyciąga się do dzwonka, chwytając figlarnie wykrzywioną małpkę i silnie nią wstrząsa. W powietrzu rozlega się dzwonięcie przenikliwe. Kulik tryumfujący wydobywa zza kurty skórzany woreczek z pieniędzmi i przystępuje z nim do stołu.

Teraz mnóstwo już rzeczy napelnia głęboki ganek, a ludzie ciężko stukający butami wynoszą z domu coraz to inne i przed schodami ganku ustawiają. Są to najróżniejsze sprzęty w stylach mniej więcej nowych i te sprzedają prędko i łatwo. Trudniej idzie z biurkiem staroświeckim, bogato brązami nabijanym i zdobnym u góry w dwa zwierciadła. Dość drogo je ceniono, a w całym zgromadzeniu nie ma ani jednej pary oczu, która by umiała zachwycić się harmonijnymi liniami i surowym bogactwem tej starej pamiętki. Tylko stary Joachim ciągle u poręczu ganku zawieszony wpatruje się w nią wytrzeszczonymi oczyma, bo bardzo dobrze pamięta, że kiedy ogrodnikiem już będąc przychodził do starszego najpierw, potem do młodszego pana, a potem jeszcze do wdowy po młodszym z zapytaniem, przedstawieniem, prośbą, starszego i młodszego, i wdowę po młodszym znajdował często siedzących przy odchyłonej klapie tego biurka, w którego mnóstwie szuflad i szufladek chroniło się mnóstwo gospodarskich i innych papierów. Młodszego

szczególniej widzi w tej chwili przed sobą jak żywego. Rachmistrz z niego był wielki; przy tym biurku siadywał wtedy jeszcze, gdy wszyscy we dworze spali, pisał w księgach cyfry, podkreślał, rachował. Młodziutkiego syna tylko zawczasu rachować nie nauczył, bo zaledwie dorósłszy rozkochał się w gwieździe, wleciał ku niej jak orzeł i zginął jak mucha, a raczej jak liść jesienny: poniosło go gdzieś daleko i — przepadł.

— Dwadzieścia! Po raz trzeci! Kto da więcej?

— Dwadzieścia i jeden! — woła siwy jegomość w szaraczkowym surducie i trochę jeszcze wahający się, z machnięciem ręki dodaje:

— Co robić? Niech już choć i takie lusterka dla dziewcząt będą w chacie!

Figlarnie wykrzywiona małpka, chudą ręką wstrząsana, przenikliwie dzwoni. Nabywca, z ustami od lubości rozwartymi, wysuwa szufladki nad kłapą umieszczone, a w jednej z nich znalazłszy arkusik papieru, od góry do dołu zapisany, niedbale rzuca go na ziemię. Ale stojący obok jegomostek, łysy, trochę krzywy, w elegancko skrojonym i mocno wytartym paltocie, pokątny doradca z sąsiedniego miasteczka, schyla się pośpiesznie, arkusik podnosi i do oczu przybliża. Nuż dokumencik jaki albo coś takiego, z czego da się choć trochę pociągnąć! Czytając mruczy: „Moja mamó złota! Mój brylantowy ojczuszkule! Chociaż z Henrykiem jest mi jak w raj, myślę, wspomnieniami, tęsknotą serdeczną często bywam z wami!” Przeskakuje oczami jedną stronicę, drugą, trzecią, aż u dołu czwartej wyczytawszy: „Z miłością bez granic ręce wasze całuję, Helenka”, pogardliwie wymawia: „głupstwo!” i znowu arkusik rzuca na podłogę, gdzie go w minut parę rozdeptują i strzępami na ubłoconych podszewkach roznoszą ludzie, cisnący się ku widokowi nowemu. Bo otóż i ona sama, ta Helenka, która matkę nazywała „złotą”, a ojca „brylantowym”, ślicznie wymalowana olejnymi farbami, w białej sukni, z różą przy złotym warkoczku, cienka w pasie, wątła. Ona i obok niej ten chłopak, który to tak dalece rachować nie umiał, że za gwiazdę zaofiarował życie, gwiazdy nie dostał i życie utracił. Dumny, ognisty chłopak, ciemnymi oczyma spod złotych włosów jak żywy patrzy z portretu.

Najpierw portret panny.

— Po raz pierwszy: Kto da więcej?

— Po raz drugi: Kto da więcej?

— Po raz trzeci: Kto da więcej?

Dzierżawca karczmę dał najwięcej, a prawdę mówiąc, on jeden do nabycia portretu chęć okazał. Ładny obrazek: powiesi go w gościnnym pokoju, w którym czasem nocują podróżni, nad kanapą, z której pilśni wielkimi kłakami wypada, naprzeciw okna upstrzonego przez muchy i przyozdobionego dwoma kaktusami, podobnymi do połamanych kości męczenników.

A teraz portret chłopca. Nikt formalnie kupować go nie chce. Ot, tobie, chłopcze, duma i chęć płacenia za gwiazdę życiem! Ledwie na koniec ten sam karczmarz, który nabył Helenkę i brata jej bierze jak z łaski. Niech tam już będzie tych obrazków do pary: może nocującym w karczmie panom spodoba się panienka, a paniom — panicz!

Małpka brązowa aż szamoce się cała, tak dzwoni; żółty pies wraca od woza, ku któremu odprowadzał kanapę babuni. Stoi teraz ta kanapa na wozie, a na jednym z jej pejzażów siedzi Franuś Kulik z batem w ręku, w przekrzywionej z fantazją czapce i z górnej swej pozycji do kilku sąsiadów przemawiając zanoszący się basowym śmiechem. Bydło, uprowadzone za bramę, ryczy, konie parskają i czasem rżą. Żółty pies złął się bata, ryczenia, rżenia, ku gankowi wrócił i ujrzał stojącą przed gankiem szafę kredensową, na której widok wyschły jego język szybko obrócił się dokoła wychudłego pyska: nie bez racji, bo kiedy niemłoda, skrzętna i gderliwa panna Alojza lub inne osoby te ciężkie dębowe drzwi otwierały, stał on zawsze przy nich z pyskiem po kawałek pieczeni lub cukru wyciągniętym i — nie zawodził się nigdy. Teraz wielki sprzęt dębowy, cały w rzeźbionych szlakach z powodu braku tylnych nóg tak mocno w tył się przechyla, że zdaje się, wnet, wnet krzyknie od zdziwienia albo od przerażenia zemdleje. Jak to! Wynieśli go z kąta, z tego kąta jadalnej sali, w którym przez tyle dziesiątków lat rysowały się ciemne, ciężkie jego kształty, do którego, zdawało mu się, że przyrosły grube jego plecy! Cały w tył przegięty, sprzęt ten wydaje się przerażony i mdlejący, a na ganku głos ostry i donośny powtarza:

— Kto da więcej? Kto da więcej? Kto da więcej?

Z głosem tym łączy się cichszy znacznie, lecz także ostry szczebiot ptaka, który bardzo śpiesznie i z wyraźnym zdziwieniem zapytuje:

— Co to? Co to? Co to? Co się tu dzieje?

Jest to gil z czerwonym łebkiem, który po letnich podróżach dziś właśnie na zimę tu powrócił i oto — co znalazł! Sam dość już stary i należący do rodu gilów, które od niepamiętnych czasów gnieździły się każdej zimy w bliskości tego domu, wiele on o nim wie i pamięta. Wnętrza jego nie widział nigdy, lecz jak wybornie są mu znane te okna, teraz nieme i nagie, gdy przedtem były takie wesołe i strojne w zwojach firanek i zieleni wazonowych roślin! Albo ganek! Zawsze był w zimie cichy, czysty, z zamkniętymi szczelnie drzwiami ciężkimi, na których wypukłym rysunku gil przesiadywał niekiedy, przysłuchując się dźwięczącym za nimi głosom ludzkim. I teraz do samego brzegu gankowego okapu uczepiony czerwony łebek to w jedną, to w drugą stronę przekrzywiając, z małymi oczami szeroko wytrzeszczonymi przysłuchuje się, zastanawia, zdumiewa. Trwogi nie czuje, bo widzi przecież, że nikt zajmować się nim ani myśli, tylko przejmuje go żal za ciszą ganku i wesołością okien, a przy tym niepokój: czy też nie będzie tu już nikogo, kto by w najsroźsze mrozy dla biednych ptasząt wysypywał na ten ganek garście ziaren i okruchów? Opowiadali mu przodkowie, że był to zwyczaj od dawna w tym miejscu praktykowany; we własnym życiu niejednokrotnie korzystał już z niego i nawet bardzo dokładnie przypomina sobie kształty rąk, które przez te drzwi i okna zbawcze deszcze ziarenek na okrutny śnieg wysypywały. Przypomina sobie ręce stare, zwiędłe, z bladymi palcami, z pomarszczoną skórą i inne: młode, ruchliwe, białe, u końca tylko od mrozu jak pączki centyfolii zaróżowione — i inne jeszcze, maluchne, pulchne, do rumianych jabłuszek podobne. Teraz widzi długą, kościstą, bezkrwistą rękę, która chwyta jakiś błyszczący potworek, wstrząsa nim i dzwoni tak przeraźliwie, że gil porywa się z okapu, wzbija się nad spiczasty dach domu, ulatuje w głąb ogrodu, gdzie po chwili, na gałęzi jabłoni ze starą znajomą swoją, sroka o żalobnych skrzydłach, prowadzi zawziętą rozmowę. Na jabłoni zwisają jeszcze tu i ówdzie czarne i czerwone liście, u stóp jej sztywnie bujają badyle srebrników i bodziszków. Wiatru nie ma najłżejszego, więc wszystko dokoła jest ciche i nieruchome, tylko gil na gałęzi trzepoce się, szamoce i czerwony łebek ku wyżej nieco siedzącej sroce podnosząc szczebiotać nie przestaje:

— Co to? Co to? Co to?

Sroka aż zalega się od śmiechu:

— Kra, kra, kra, kra! Kra, kra, kra, kra!

Gil gniewać się zaczyna. Trzeba być sroka, aby w tym wszystkim powód do śmiechu znaleźć! Lepiej zrobiłaby, gdyby zamiast śmiać się powiedziała mu, dlaczego te okna, takie dawniej wesołe i strojne, teraz są takie nagie i nieme.

Sroka śmieje się znowu i odpowiada, że trzeba gilem być, aby nie wiedzieć, iż kto umiera, u tego oczy gasną.

— Co? Co? Co? — szczebioce gil.

Ale sroka przelatuje na drzewo inne, którym jest brzoza płacząca i uczepiwszy się wiotkiej jej gałęzi, śmieje się jeszcze.

Gil dopędza ją i na kołku od płotu, który ogród od łąki rozdziela, usiadłszy, zapytuje jeszcze, lecz sroka jak na huśtawce buja się na wiotkiej gałęzi brzozowej i drwi sobie z niego i ze wszystkiego. Więc gil na kołku od płota kurczy się, napusza, piórka nustrzępia i półsennymi oczyma patrzy na grupę olch starych, tuż przy płocie dzwoniących szczebiotem szpaków, które spóźniły się z odlotem, a w tej chwili, przy nadchodzącym wieczorze już do snu się układają.

Nadchodzący wieczór powoli i stopniowo napęlnia powietrze chłodem zwiększonym i lekkim ściemnieniem. Tym jaskrawiej w zaledwie dojrzanym jeszcze zmroku iskrzy się czerwony tyftek na wysokich poręczach wolterowskiego fotela, tym przezroczystsze wydają się galeryjki drewniane, otaczające parę łóżeczek dzieciennych, tym wyraźniejsze połyski wydają ramy złocone u obrazów i obrazków, kule szklane u lamp, amory brązowe u wieloramiennych świeczników, zwierciadło u gotowalni kobiecej, metalowe figurki, z których jedna, dość duża, przedstawia człowieka w stosowanym kapeluszu, ze skrzyżowanymi ramionami, stojącego na samotnym odłamie skały. Tego i stary Joachim nie pamięta, lecz od ojca słyszał, że tę figurę przywiózł tu z dalekiego Zachodu wracający jeden z mieszkańców tego domu i siadywał potem w wolterowskim fotelu, wpatrując się w nią przez długie godziny jak w przedmiot utraconej czci i nadziei. Może z żalu po tym przedmiocie zestarzał prędko, ludzi unikał, żony nie pojął i lat jeszcze dużo samotnie pod

dachem tym przeżywszy, umarł, patrząc na sztywnie z odłamu skały wysterczającą figurę. Joachim znał imię tej figury i imię jej czciela. Ojciec mu opowiadał, że drugi każdemu z wchodzących pokazywał pierwszą, mówiąc przy tym dziwnym głosem: „Wódz mój!”

Oprócz tych znajduje się przed domem wiele rzeczy różnych kształtów i rozmiarów, a wszystkie zdają się porwane gwałtownym ruchem migracji. Szybko bowiem idą teraz sprawy na ganku; prędko jedno po drugim następują pytania: kto da więcej? kto da więcej? — często rozlega się przenikliwy odgłos dzwonka. Robota musi być do wieczora ukończona; śpieszy się publiczność, śpieszą się urzędnicy, śpieszą od ganku ku bramie dwa tłumy: ludzi i rzeczy. Pierwszy na pozór ruchliwego mrowiska, którego pojedyncze postacie mącą się i wzajem uniewyrażniają, drugi, nad głowami i zgiętymi grzbietami tamtego niesiony, wypukła się doskonale każdą ze swych jednostek. Obrazy i obrazki w złożonych ramach, fotel czerwonym tyftykiem obity, gotowalnia na wielkich lwach drewnianych, świeczniki rogate, wazy wysmukłe, ekrany malowane, półki toczone i rzeźbione, zegary o dwu czarnych nieruchomych palcach na białych obliczach, figurki metalowe, pośród których największa, sztywna, ciemna figura Napoleona, nad głowami i zgiętymi grzbietami ludzi niesione poruszają się, rozmijają, rzucają połyski barw, szkła i metali, suną przez gładki dziedziniec szarzącym powietrzem, odchodzą, uciekają. Jakby w panice trwogi lub w szale wędrówki zmierzają wszystkie ku wozom i bramie, wspinają się na wozy, wyjeżdżają za bramę i tam wraz z wozami, na których stoją, piętrzą się, połyskują; rozsypawszy się w strony różne mącą czas jakiś ciemnymi, ruchomymi, coraz malejącymi punktami jednostajną szarzyzną powietrza i martwą senność pól.

Na ganku zaś pozostały jeszcze tłumik ludzi wybucha śmiechem. Cóż to za grat pocieszny wysunął się przez drzwi i stanął na ganku — już ostatni! Ach, jakież pocieszny! Patrząc nań, śmiechu powstrzymać niepodobna! Niby fortepianik, któremu by ogon ucięto, niby stół z dwoma rzędami zębów czarnych i wąskich u góry, a u dołu szerokich i jak u starej baby żółtych, wzdłuż popękanych. Krótki, pękaty, z obdartą w kilku miejscach orzechową skórą, stoi ten grat zabawny na bardzo ładnie i subtelnie utoczonych czterech nóżkach, wyszczerzonymi zębami zdając się pytać: kto mię weźmie?

— Trzy dwadzieścia! Kto da więcej?

Nikt nic nie daje. Patrzą, oglądają, śmieją się, ale na co to komu zda się! Pojąć nawet trudno, kto kiedykolwiek na fortepianiku takim mógł grywać.

Tylko Joachim wie, kto na nim grywał i że nie nazywał się on fortepianikiem, lecz klawikordem. Jak przez sen pamięta w dalekim, dalekim dzieciństwie staruszkę małą, pogodną i jeszcze żwawą, gdy ze srebrnymi lokami u malutkiej pomarszczonej twarzy, w kaftanie aksamitnym, drogim futrem obłożonym, w wielkiej sali przed klawikordem siadała i na jego zębach, tak prawie żółtych jak teraz, kładła palce wyschłe, jak kość słoniowa białe i lśniące. Spod tych palców wypływała wtedy melodia lekka, wykwiwna, trochę tylko posuwista, pauzami dla składania ukłonów głębokich punktowana, rzewnymi tonami do podnoszenia dłoni ku sercom wzywająca. Kiedy to trochę płocze, trochę smętne, trochę rozromansowane śpiewanie klawikordu z wielkiej sali rozplywało się po domu, służba na palcach przybiegała pod drzwi przymknięte rada posłuchać, jak najstarsza pani gra — menueta. Czasem po menuecie głowa jej w srebrnych lokach romansowo na bok się przechylała i przy cichych akordach klawikordu głosik słaby, od wspomnień melancholijny, od starości dygocący śpiewał: „Już miesiąc zaszedł, psy się uspiły!”

— Po raz drugi: trzy dwadzieścia! Kto da więcej?

Najbliżej klawikordu stoi jegomostek chudy, łysy, trochę krzywy, w kosztownym i poplamionym paltocie, ten sam pokątny doradca, który to list Helenki rzucił tłumowi pod nogi. Stoi przed klawikordem i z uśmiechem na ustach topiących się w rudym zaroiście, z żartobliwymi błyskami w oczach przysłoniętych przez szkła ciemne na jednym z klawiszów opiera palec gruby na kształt tulipana u końca rozdęty. Brzmienie delikatne, drżące rozlega się po ganku. Nie jest to brzydkie: jakby struna harfy zadzwoniła lub komar w ciszy nocnej zabrzączał. Więc stary grat śpiewa jeszcze! Ciekawość, ilu tonami śpiewać jeszcze może! Dziesięć palców tulipanowego kształtu opiera się na wyzółkłych, wzdłuż popękanych klawiszach, puszcza się po nich, bieży coraz żwawiej, uderza coraz mocniej, aż stary klawikord brzęczy cały hulaszczym, skocznym, coraz skoczniejszym, szaleńczym tańcem. Trzy nuty powtarzane nieustannie i zawrotnie wciąż i rytmicznie przeryna krzyk jednej, ostrej, śpiesznej, namiętnie wołający do tańca bez końca, do szału

bez uzdy, do hałaśliwych, pijanych, grubych, strugami potu oblanych podskoków. Ciężko snadź delikatnemu, staremu gratowi wydawać takie krzyki i szale, bo podskakuje, wygina się w strony różne, a w harfianym czy komarowym jego brzęczeniu słychać takie stękanie, skrzypienie, dmuchanie, dyszenie, że śmieje się grający, śmieją się ci, którzy go otaczają, uśmiechają się nawet urzędnicy, radzi może chwilowemu urozmaiceniu całodziennej nużącej czynności. W ten chór wesoły mieszają się niebawem dwa jeszcze głosy. Najpierw gil, muzyką zwabiony, przylatuje z ogrodu, zawisa u okapu i czerwonym łebkiem z przestrachem, ze zdziwieniem kręcąc szczebioce: „Co to? Co to? Co to?” Potem pies żółty, do reszty muzyką rozżalony, jak raz naprzeciw grającego staje i z wyciągniętym w górę pyskiem chudym, przeciągle, przenikliwie wyje. Ale i małka brązowa zaszamotała się nad stołem, dzwonek rozbrzmiał silnie, donośny głos zawołał:

— Po raz trzeci: trzy dwadzieścia! kto da więcej?

Pokątny doradca odrywa palce od klawiszów i odkrzykuje:

— Trzy czterdzieści!

Po czym z lekceważącym gestem do młynarza mówi:

— Czart bierz! Niech go tam bębny moje do reszty rozthuką!

Wtedy stary człeczyna w długiej do kostek siermiędze jak kloc ciężko opada od poręczy ganku, do której był uczepiony, mruczy coś pod siwym wąsem i bardzo powoli dom okrążywszy, do ogrodu wchodzi.

Wilgoć, milczenie, zmrok panują w krzyżujących się alejach szerokich i wąskich, na kwadratach zasadzonych owocowymi drzewami i sterczących mnóstwem suchych badyli, w gęstych grupach krzewów, na klombach, pośród których świecą brudną żółtością i bielą przymrożone kwiaty. Liście opadłe, wilgocią do ziemi przybite, zaścielają wszystkie drogi, tylko gdzieś tam wybija się z ich pstrego pokładu czerniejąca zieloność trawy. Przez szeregi drzew tworzących aleje i przez gęste ich grupy widać za coraz ciemniejszymi koronkami gałęzi niebo coraz głębiej szarzejące. Powietrzem prawie nieruchomym przelatują lekkie wiatry, a ilekroć nadlatują, u stóp drzew z cichutkim szelestem porywają się tumanki opadłych liści i trochę tylko posunąwszy się nad ziemią padają znowu ocieźałe, zamierające.

Stary Joachim, idąc kasztanową aleją, stopy ciężko obute bardzo powoli stawia na sprężystym podścielisku liści zwiędłych i mokrych.

Idzie, staje, z głową zadartą spogląda na szczyty kasztanowe, znowu idzie, zatrzymuje się, dziwnie starannie ogląda miejsce, na którym stała pod więzem ława; idzie dalej, w wąskiej, lipowej alei pacierz mrużyć zaczyna i przerywa go sobie na widok brzoź płaczących, przed którymi długo kiwa głową, aż skręciwszy na inną znowu drogę kroki wstrzymuje przed wielkim klombem krzewów. Na bez koralowy patrząc, palcem dotyka oczu i wraca do kasztanowej alei, z której skręca w inną, złożoną z lip i jesionów, aż znowu znajduje się pod więzem i od niego stąpać zaczyna wzdłuż szeregu brzoź płaczących. Tak chodzi po jednych wciąż miejscach zamyślony, czasem palcem dotyka oczu, czasem ręką czyni gesty zastanowienia, a za nim, tuż za skrajem jego długiej siermięgi, chodzi stworzenie chude, smutne, nieśmiałe, ze spuszczonego ogonem i pyskiem, tak cicho stąpając, że kroki jego na zwiędłych i mokrych liściach nie sprawiają żadnego szelestu. Raz przecież tam, gdzie liści było najwięcej, zaszleściły. Joachim ogląda się i staje. Człowiek ze spuszczoną twarzą i pies z lęklawie podniesionym pyskiem patrzy na siebie przez chwilę niezmiernie smutnymi oczyma.

— Pójdź, Azor!

Żółty pies uszom swoim nie wierzy, aby ktokolwiek jeszcze na świecie mógł doń przyjaźnie przemówić! Stoi i czeka!

— Pójdź, Azor!

Teraz pies śmielej już nieco za długą siermięgą człeczyny iść zaczyna i obydwaj wychodzą z ogrodu.

Przed domem, na ganku i na dziedzińcu już ani żywej duszy nie ma. Odjechali, odeszli wszyscy. Cicho. Drzwi domu z wypukłym rysunkiem zamknięte; wrota obór i stajen zamknięte; okna oficyn ciemne; czuć, że i za nimi żadnej duszy żywej nie ma. Cicho i pusto. W górze niebo głęboko szare, w powietrzu zmrok, u dołu ziemia mokra, zryta stopami ludzi i kopytami zwierząt; dalej, dokoła, ciemne, rozległe, śpiące pola, a pod

czarnymi koronami drzew bezlistnych — dom długi, bielejący w zmroku, z zamkniętymi drzwiami i oknami.

Joachim z dala przed gankiem staje i na piersi kładzie szeroki znak krzyża, jak to ma zwyczaj czynić przed leżącym w trumnie umarłym. Potem ku bramie iść zaczyna, lecz przypomniawszy coś sobie odwraca się i woła:

— Azor, pójdź!

Pies, życzliwe wołanie usłyszawszy, wydaje ciche skomlenie radości, bieży, a gdy znajduje się już tak blisko człowieka, że pyskiem skraju siermięgi prawie dotyka, znowu powoli, bez szelestu iść zaczyna. Tak jeden za drugim wychodzą z bramy, przez chwilę w prostej linii przeryniają pole, potem na boczną drożynę zwracają, maleją, czas jakiś mając jeszcze w oddaleniu punkcikiem coraz drobniejszym, aż w niezmiernym rozłogu pustki, zmroku i śpiących pól znikają.

Wtedy nie pozostaje tu już nikt żywy, ani nawet pies. Wieczór staje się coraz ciemniejszy, bo szmaty chmur płyną już teraz pod obłokami i zaczynają spuszczać na ziemię deszczyk drobny i zimny. Tak upływa godzin parę, po czym ciszę przenikają na wskroś coraz silniejsze poddmuchy i szumy. Przylatują one od łąki, na której ciemność kłębi się to gęstsza, to rzadsza, budzą w olchach szpaki, na jabłoni gila, w wiotkich gałęziach brzoźowych srokę, która wybucha chrypliwym od senności śmiechem: „kra! kra! kra!”. Potem ptaki usypiają znowu, a wiatry od łąki lecą coraz szybsze, przyciszonym huczeniem napęniają aleje, z lekkim trzaskiem łamią suche gałązki i badyle, przenikają aż do dna warstwy liści zwiedłych, które wzdymają się w tumany, lecą przez ciemność, rozsypują się, padają i znowu wzbijają się, szeleszczą, lecą. Aż w najsilniejszym podmuchu zaszamotały się drzewa najbliżej domu rosnące i gałęzmi jak palcami w ciemne jego szyby zadudniły, zadzwoniły.

Do ciemnego wnętrza domu wnika przez okna mętna światłość, coś na kształt szarej godziny wobec grubej nocy i pasami kładzie się na sufitach niskich, na gładkich posadzkach, na ścianach od końca do końca nagich. Ściany te, zalane ciemnością, napęniają teraz szepty ciche, lecz tłumne, w których wyraźnie słyhać akcenty zapytań zadziwionych, strwożonych, coraz naglejszych, niespokojniejszych, szybszych. Zdawać się to może pełnym trwogi i niedowierzania porozumiewaniem się mnóstwa istot, które z różnych stron tu zleciawszy znalazły się wobec czegoś, co wprawilo je w obłęd zdumienia. Słychać, jak wirują dokoła siebie z szumem drżącym i niespokojnym szeptaniem nie wiedząc, dokąd iść, gdzie szukać, kędy spocząć, pocieszyć się, wspominać. Zrazu w wielkiej sali zgromadzone rozpraszają się niebawem po całym domu, w którym już nie ma żadnego spokojnego miejsca. W jednym z pokojów wszystkie cztery ściany obiega szmer kroków ciągły, nieskończony, niezmordowany, jakby czegoś rozpacznie szukający, jakby goniący widmo, które wciąż ukazuje się i znika. Gdzie indziej odzywa się westchnienie, w którym brzmi jedna zgłoska: „Ach, ach, ach!”, a naprzeciw daje się słyszeć stłumiony okrzyk: „Boże! Boże!”; po czym westchnienie i okrzyk powtarzają się ciągle, to wzdymając się, to opadając, tworząc rozmowę o nierównym i nieznużonym rytmie. Gdzie indziej brzmi wołanie, w którym czuć przyzywanie kogoś po imieniu, przyciszone, monotonne, ciągle, ciągle, coraz tęskniejsze, nadaremne. Tu przez pokoje ktoś bardzo śpiesznie bieży i ze stukiem na podłogę pada; tam cieniutki głosik brzmi skargą, którą tłumią pocałunki, wnet zagłuszone jękami przebiegającymi wszędzie i krzyżującymi się z mnóstwem biegnących w różne strony łkań, wołań, zapytań śpiesznych, rozmów szmerzących jak użalania się przewlekłe i pełne namysłu obrady. W tym zgiełku cichym, a jednak tłumnym, głos męski, przerażony, donośnie przemówił: „Więc już! więc już!” Inny, łkaniem wzdęty, odpowiedział: „Koniec! koniec! koniec!”; inny jeszcze wzbil się głośnie krzykiem: „Wodzu mój!”, a inny, skrzydłami o ścianę tłukąc, powtarzał długo: „Gwiazdo, gwiazdo, gwiazdo, za którą dałem życie!” — jeden jeszcze zaszeptał: „Mamo złota! Mamo złota!” i stopił się w placu, a drugi delikatny, nieco rozromansowany, od starości dygocący, słabo zawiódł: „Już miesiąc zaszedł, psy się uspiły!”. Lecz wszystko to zagłuszył wielki szum wołający: „Cicho! Cicho!” i wkrótce przemieniony w zbiorowe, ogromne, głębokie szlochanie, które wzdęło się w lament przewlekły, pefen zawodzeń, narzekań, wołań, wzywania Boga, opowiadań brzmiących jak długie recytatywy, w lament, który napęlnił dom cały od wierzchu do dołu i trwał bardzo długo.

Wiatry lecą od łąki, na której kłębią się ciemności, szumią w olchach, huczą w alejach z kasztanów, lip i jesionów, wstrząsają wiekową głową wiązu, łamią z małym trzaskiem suche gałązki i badyle, podnoszą z ziemi szeleszczące tumany uschłych liści, szamocą gałęzmi drzew, najbliżej domu rosnących. Te gałęzie bezlistne, twarde, od deszczu mokre, jak palcami dudnią po szybach okien, za którymi w pustym wnętrzu domu zapanowuje o bladym i słotnym poranku niezmacona cisza grobu.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z [Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur](#).

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na [Licencji Wolnej Sztuki 1.3](#).

Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w [Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur](#). Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/gloria-victis-smierc-domu>

Tekst opracowany na podstawie: Eliza Orzeszkowa, *Gloria victis*, Czytelnik, wyd. 1, Warszawa 1986

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Bibliotekę Narodową z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów BN.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Sekuła, Sylwia Hornowska.

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).